

Żukrowski, Wojciech

Nasza buda

Przegląd Pruszkowski nr 1, 3-8

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Napisałyśmy tę książkę dla złożenia hołdu niestrudzonym i niezapomnianym pracownikom naszej szkoły, dyrektorom, nauczycielom, woźnym i wychowawcom — którzy przynosząc zaszczyt szkole nauczyli się służyć najpiękniejszym ideałom humanistycznym. „*Patriam amare, neminem laedere, suum cuique tribuere*”, co znaczy „Ojczyznę kochać, nikogo nie krzywdzić, każdemu oddać, na co zasłużył”.

Pragniemy w tym miejscu podziękować wszystkim, którzy okazali życzliwość i pomoc przy pisaniu tej monografii, gdyż bez ich pomocy nie zdołabyśmy zebrać tak obfitego materiału.

Oddając do rąk naszych wychowawców i kolegów niniejsze opracowanie zdajemy sobie sprawę, że zawiera ono wiele luk. Stąd prośba do wszystkich, którzy pamiętacie epizody, ludzi i wydarzenia związane z naszą szkołą: zróbcie gest dla naszej zacnej „budy”, przekazcie posiadane informacje w formie pisemnej na adres szkoły lub zrelacjonujcie je autorkom na naszym jubileuszowym spotkaniu.

Mogą się one przydać do napisania obszerniejszej, pełniejszej monografii, co jest naszym skrytym marzeniem.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

NASZA BUDA

O własnej szkole nie można opowiadać, spokojnie relacjonując same fakty, kreśląc portrety profesorów, zawsze powstaje obraz zdeformowany skrywanymi emocjami, zbyt różowy lub za czarny. Oczywiście, rocznicowa publikacja nie tylko sprzyja nadmiernym pochwałom, laurkowaniu, lecz wręcz do takich wspomnień zobowiązuje. Jednak ten rodzaj opowieści, przychylna deformacja pamięci następuje dopiero po latach, kiedy zatarła się pamięć przeżywanych udręk, lęków i gwałtownych niechęci, cały ten żartobliwie dziś nazywany „ucisk klasowy”. Dyrektor, na dokładkę wymagający matematyk, który nagle był gotów w czasie nieobecności jakiegoś profesora przejąć godzinę lekcyjną i zarządzić małe przepytanie czy klasówkę, a już się przed rozbrykanym stadem jawiła rozkoszna wizja wolnego czasu, był dla nas prawdziwym niebezpieczeństwem, groźnym tyranem, zwłaszcza że brzydziły go przydługie kudły na naszych pustych głowach i zarządzał strzyżenie na rekruta. Tak Leon Ostrowski zwany przez nas Baranem, bo spoglądał spode łba jakby gotów do szarży i tryknięcia rogami, budził szacunek zmieszany z lękiem. Włosy po tyfusie odrastały mu miejscami siwe, zawsze sądziliśmy, że tysawy i łaciaty zazdrości nam bujnych i niesforne sterczących kudłów.

Jego żona, kochana pani Ostrowska, zwana pieśczośliwie Stasią, bo miała na imię Stanisława, uczyła nas literatury z żarliwością apostołów i coś tam potrafiła nawet na tych dziczkach zaszczerpić. Opiekowała się kółkiem Miłośników Książki, wielu z nas popadło w ten najmiłszy z nałogów, czytało dużo i już nie wyobrażało sobie życia bez książki w garści. Wzruszała się łatwo, co też bywało przez nas wykorzystywane skwapliwie, miała oczy na mokrym miejscu, tzy jej

spływały po zapadniętych policzkach, kiedy czytała Słowackiego czy nawet współczesnego poetę Lechonia... Używaliśmy jej jako tarczy przed gniewem Dyra, prosiliśmy o interwencję, kiedy nasz pobyt w budzie zdawał się wisieć na włosku, kiedy uciapieni twardą ręką wychowawców bywaliśmy wystawieni za drzwi klasy z jednoznacznym wyrokiem: — Won do domu! I nie waż mi się pokazać tu bez ojca!

Czcigodne Ciało Pedagogiczne! Widzieliśmy Was obciosujących z poświęceniem naszą zuchwałą dzikość, rosochate odrosty, jako ogrodników z piłą czy nożycami w ręce. To nieprawda, że nauka jest przyjemna! Kto takie łgarstwa rozpuszcza? Nauka była tresurą, a niejedna uwaga, strofowanie — szyderstwem, zwłaszcza przy koleżankach, które chichotały przypochlebnie, bolało jak razy bicia. Niejeden z profesorów jawił nam się jako pogromca, ale też klasa przypominała klatkę pełną przyczajonych, młodych drapieżników, których należało przyuczyć do postuśzeństwa, a czasem i siłą łamać upór, wypędzać łube lenistwo.

Pośród wykładowców też zebrali się barwne postaci, a trzeba pamiętać, że „Zan” był koedukacyjną budą i obecność dziewcząt w klasie podniecała do wybryków, judziła do zuchwałości. Młode byczki chciały się popisać śmiałymi wystąpieniami, żeby zyskać podziw koleżanek, a u kolegów opinię przywódcy, twardziela, który się nie łamie.

Higieny uczył nas zacny doktor Fitkał. On cierpliwie odpowiadał na najbardziej idiotyczne pytania z zakresu „wiedzy o człowieku”, głównie łóżkowej, bo z największą uciechą unosiliśmy bodaj rożek małżeńskiej koldry. Ale i on umiał się zemścić, bo wchodził nagle do klasy i zarządzał przegląd lewej nogi, to na przemian — prawej. Trzeba było zdjąć kapeć i skarpetkę, pokazać czy na piętach można już siać rzepę. Kompromitował nas przed dziewczynami jako brudasów i śmierdzieli. A wystarczyło tylko trochę poganiać na boisku, pokopać piłkę, żeby się nogi przykurzyły, wyglądały jak od tygodnia niemyte. Gdybyście widzieli te chytre zabiegi, by im szybko pozór czystości przywrócić! Owo popluwanie na palce i gwałtowne przecieranie paluchów, aż się czarny nalot skluskował... Zresztą u niejednego to nie był brud, a patyna, co już przydawało szlachetności. Jeszcześmy nie czuli gwałtownej potrzeby płukania się porannego, zwłaszcza, że woda była zimna i odrażająco mokra. Może jeden, dziś znany pisarz, Stasio Kowalewski, zawsze wytworny, mył się dokładniej, a przynajmniej perfumował, bo otaczał go obłok pachnący prawdziwej kolońskiej, reszta zaś, co tu dużo gadać, zadowalała się własnym zapachem, a niektórzy wyróżniali się szczególnym, zwłaszcza nogi, choć przecierali je formaliną, w której i trup się konserwuje.

Jako staremu Zaniakowi, a dość długo dojrzewałem nim dobiłem do świadectwa dojrzałości, choć i dziś nie jestem pewny, czy nie dostaliśmy go zbyt wcześniej, gdy widzę dziecinną ufność starych koni, niechęć do samokształcenia i wiarę w cuda, że jednak nam coś z nieba kapnie, czego nie wypracowaliśmy, rozumne lenie — brzydki gmach naszej budy przy Klonowej kojarzy mi się z charakterystycznym odorem potu rozgrzanych, młodych ciał, kurzu wzbitego spod niezliczonych nóg tupiącego stada, woni niedomytych klozetów, jakiegoś święństwa, którym nacierano podłogi ni to pasta, ni środek dezynfekcyjny, a także zdrowy zaduch ciżby, pełnej napięć, wrzasków i gotowej do historycznych odruchów. Ale możesz się doszukać i smugi wody kwiatowej, jaką skronie sobie dziewczyna zwilżała i nikły, ale jakże charakterystyczny zapach starłej kredy, jaką próbowano w naszych łepetynach utrwalić wiedzę, kredy pudrującej podłogę wokół tablicy.

Wiedza... Gdybyż to można było włożyć lejek do pustych łbów i nasączyć tam oleju mądrości, ale u nas klepki tkwiły luźno, a nawet chyba niektórych brakowało, bo trudno nam było gromadzone fakty, daty i prawa fizyczne, nie mówiąc już o matematycznych wzorach, w nich zachować. Natomiast głowy pęczniały od szalonych pomysłów, jak wróble na strychu furkotały w nich myśli przewrotne o psotach. Biedni nasi profesorowie, zwłaszcza ci, którzy mieli nieostrożność odstąpić nam swoje słabości. Pamiętam jak teologicznymi dysputami zamęczałem najpocześniejszego księżynę, naszego prefekta Skrzecza, aż wołał: „Dziecko drogie! Diable jeden, a dasz ty mi wreszcie spokój!” Wyłuskiwałem z książek zwanych wówczas bezbożnymi historie o Joannie Papieżycy, o zastrachanym Galileuszu, który się prawdy zaparł, o Świętej Inkwizycji, nawet własnego Patrona nie oszczędziłem świętego Wojciecha, utłuczonego ciężkim wiośłem przez Prusów, stąd też został opiekunem kajakarzy... Ja, dziś katolik i to wyznawca, co łatwo w książkach spoznać, potrafiłem wprowadzić księdza w stan takiej rozterki, że nie wiedział, czy ma ze mną wieść dysputę teologiczną, do jakiej nie był przygotowany, czy po prostu wywalić za drzwi i skazać w swoim mniemaniu na potępienie, zostawić w mocy szatana. Musiał mi jednak stawiać piątkę, bo byłem obkuty w dogmatycznych subtelnościach. I na mszę chodziłem pilnie, bo po niej odprowadzałem swoją dziewczynę. Wtedy już się kochałem, zresztą w tej samej, która po latach została moją żoną. Była dobrą matematyczką, przysyłała mi ściągę, musiałem się więc jakoś odwodzić, choć dziś ona twierdzi uporczywie, że się dla mnie poświęciła. Piszę o tym, żebyście wiedzieli, jakie pułapki kryje koedukacyjne wychowanie, żebyście Młodzi Kole-dzy byli dostatecznie ostrożni!

Rysunków uczył nas prawdziwy malarz, profesor Prusak. Po latach oglądałem w skupieniu jego obrazy i zdumiewałem się, jak mało potrafił nas nauczyć. Choć gdyby tak obejrzeć przy końcu roku nasze toalety można tam było napatrzyć się niejednego! Picassowskie uproszczenia symboli płci, całe freski pracowicie wydrapane i dla co bardziej tępych uzupełnione napisami w takim obłoczku jak na komiksach. I sylwetki charakterystyczne profesorów zaraz się rozpoznawało, a więc i Prusak nas czegoś nauczył, a przynajmniej karykatury, ostrości widzenia, syntetycznego rysunku. Chwała mu za to! Jeśli pilnie chodziłem na wykłady z zakresu historii sztuki, jeśli spotkacie mnie na wystawach malarskich, to ten rodzaj głodu stary belfer we mnie rozbudził, bo on nas włókł do Zachęty, tłumaczył nie tylko, co obraz przedstawia, ale jak jest zbudowany, uczył rozpoznawać style, widzieć sposób kładzenia farby, operowanie barwą.

Tylko z jednym, przypadkowym profesorem zostałem w przyjaźni, był nim późniejszy, znakomity historyk Stanisław Herbst. On u „Zana” odbywał swoją pierwszą praktykę po ukończeniu studiów. Jasnowłoso, o białej karnacji, na której występowały dziewczęce rumieńce zakłopotania, a myśmy już potrafili je wywołać. Boże, jacy bywaliśmy okrutni, ile w nas się tało przewrotnego draństwa!

Bo też to była niezwykła klasa. Nie tylko piękne dziewczyny, ale i chłopcy wyjątkowo utalentowani, dość wymienić paru: Stanisław Kowalewski, który chodził w kremowych rękawiczkach z irchy, żeby nie dotykać brudnych klamek i poręczy podmiejskiego wagonu. On był z takich lepszych państwa! Uciechą było mu dokuczać, ale rychło się wkupił w naszą bandę, przystał do najgorszych zabijaków. Kamiński Karolek, zwany Hefajstem, krępy, krzywonogi, siłacz, spec od kuli,

a potem postrach na ulicy Chmielnej. Pod oknem siedział, póki go nie wylali za niepłacenie czesnego, Lolek Teliga. Tak, ten sam, który w samotnym rejsie opłynął glob, pierwszy Polak. I nie dane mu było zwycięstwem się nacieszyć, zmarł na raka. Wiesiek Zaliński świetny siatkarz, potem inżynier architekt. Zośka Kalisiewiczówna o ostrych rysach, wysportowana, opalona na brąz. Pamiętam jej budzące dreszcz recytacje. Myślałem, że zostanie aktorką, została dentystką, też we mnie dreszcz nadal budzi jak pomyśle, że mogła by mi w trzonowym poborować.

Stanisław Kowalczyk, chyba rok młodszy, też pisujący do „Kuzni Młodych”, międzyszkolnego pisma, w którym ostrogi literackie zdobywał całe pokolenie, od Brandysa, Hołuj po Żukrowskiego. Staszka lubiłem za radykalizm myślenia, za twardą uczciwość polityczną, bo jednak już wtedy formowały się nasze światopoglądy. Potem drogi nasze się rozeszły, wojna daleko nas rzuciła, niedawno dowiedziałem z komunikatu w prasie, że został rozstrzelany przez Niemców przy kolejce elektrycznej. Jeszcze jeden mord.

Kiedy myślę o starej budzie, trudno mi pominąć naszego łacinnika Stanisława Moczulskiego, fanatycznie pragnącego nas pozyskać dla antyku. On potrafił zmusić jednego z ojców, a czegożby tata dla synalka nie zrobił, by od dwój uratować, do pomalowania olejno jednej z sal na rzymskie atrium, z głęboką perspektywą i cyprysami na horyzoncie. Tu graliśmy komedię Plautusa: „Żołnierz Samochwał”. Dwie czołowe role przypadły Stasiowi Kowalewskiemu i mnie. Sztuka cieszyła się niezwykłym powodzeniem gdyż naśladowaliśmy Dyra i profesora historii Werpachowskiego. Oczywiście wielką błażnadę odstawialiśmy, jak nie było ciała pedagogicznego pośród widzów, jednak nadmierne ryki i wybuchy śmiechu zaciekały dyrektora Leona Ostrowskiego, zaszedł niespodzianie i w lot pojął, o co chodzi, obu aktorom obniżył stopień ze sprawowania. Uważaliśmy to za podłą zemstę. Jednak każdy wolął to niż mały egzamin z matematyki.

Przez Stasię, która miewała sny prorocze i zwidywało jej się, że zostanie poetą, zaprzyjaźniłem się z samym Baranem, lecz to było już po wojnie i lata minęły, jednak nie zacieraając całkiem jego zrozumiałej nieufności do mojej wiedzy z matematyki. Człowiek zmienia sądy w miarę jak mądrzeje, kiedy się przed nim odstawiają intencje działań, jakie zwykł uważać za sadystyczną radość obnażania i upokarzania tępaka i wałkonია. A przecież myśmy byli zdolni, nawet trafiali się utalentowani, tylko nie wszystkie wykłady nas interesowały. Czas, który w szkole włókił się przerażająco, w domu ulegał przyspieszeniu, oczywiście brakowało godzin ki na odrobienie zadań. Profesorowie tego nie rozumieją, dawno zapomnieli, że i oni byli kiedyś uczniami.

Boże, co za szatańskie pomysły nam się legły w głowach! Nie tylko laliśmy się po nich kapciami, a taki trampek jak przypalantuje w ciemie, to aż młśnie! Jest co rozcierać. Komuś do łba strzeliło, żeby glistami przełożyć kanapkę i podnieść krzyk, że nas trują! Co wrażliwsze koleżanki gnaty śniadanko zwracać do klo. Nie pamiętam już, kto nawrzucał do pisuaru dla młodszych pocięty sól metaliczny, który posiusiany strzelał iskrami! Kiedyś śrubami umocowaliśmy drzwi wejściowe do domu Dyra i próżno się z zamkiem mocować sprowadzony ślusarz. To była precyzyjna robota, śruby zostały zatarte plasteliną. Pół dnia zeszło, nim wpadli, dlaczego drzwi się zrosły z framugą.

Janek Świerczewski już wtedy był dobrym elektrykiem, to on zmontował podstuch na sali konferencyjnej przed maturą. Dowiedzieliśmy się, co o nas profesorowie naprawdę myślą, bo straszili do końca. A mówili z życzliwością lub tylko marzyli, żeby nas się wreszcie pozbyć!

„Zan” to była porządna buda. Rok każdy zaczynał się uroczyste defiladą. Komenderował syn dyrektora, który już wtedy wybierał się na zawodowego do wojska. Kroczył poczet sztandarowy, zamierały szeregi w granatowych mundurkach: młodszy z niebieską wypustką, starsi z wiśniową. Dziewczeta w granatowych plisowanych spódniczkach i białych bluzkach, wszyscy odświeżenie wypucowani, przyczesani, życzliwie uśmiechnięci. Szliśmy ulicami z powagą, byliśmy ważni i bardzo tą ważnością nadęci, póki ktoś z tyłu nie zaczął rzucać kasztanami nazbieranymi w parku. Nie zostaliśmy dłużni, a że kasztanów nie mieliśmy, odpowiedzieliśmy ogniem podeschniętych końskich pączków, których nie brakowało na bruku. Widząc, że coś się w kolumnie kotłuje Bolek Ostrowski rzucił komendę: „Gimnazjum śpiewa!” I pieśń zahuczała w ulicy.

Bolek, ranny we wrześniu, uciekł z niewoli, był w plutonie specjalnym, wykonywał wyroki na oprawcach. Ogromne chłopisko, o nie-dźwiedziej sile. Kiedy mu się rewolwer zaciął, a Niemiec wyszarpywał własny, potrafił złapać go za gardło, zawlec do bramy i jednym uderzeniem o ścianę zduszonego dobić. Mimo bojowej roboty przeżył całą wojnę, poszedł na ochotnika do Wojska Ludowego i zdobywał Berlin. Został zastrzelony skrytobójczo przez hitlerowskiego jeńca w dniu zwycięstwa. Był to straszliwy cios dla rodziców. Stasia nie umiała syna wspomnieć, żeby się nie rozplakać. Bolek zawsze mi się jawi jako wyprostowany, rosty oficer ściągnięty rzemieniami, spoglądający na nas trochę pobłaźliwie spod okutego daszka ułańskiej czapki.

Jeszcze jedno chciałbym zauważyć: do „Zana” chodzili nie tylko Pruszkowiaczy, buda była na szlaku, mieliśmy uczniów i z Grodziska, z Milanówka i Brwinowa, z Podkowy też. Po godzinach przymusowej dyscypliny budziły się w nas małpy. Czekaając na pociąg rozrabialiśmy w akcyjnym gaju koło stacji, a potem grali w salonowca w przedziale opanowanym przez naszą budę. Zapewniam was, że gra nie była zbyt salonowa, ale hartowała drugą stronę medalu. A czasem gromadą szliśmy na wagary w pobliskie lasy czy nad glinianki. Jasne, że wracaliśmy do szkoły w odstępach jednodniowych żeby nie podpaść. Ja miałem szczególnie trudności, bo młodszy brat też chodził do tej samej budy.

A więc jeszcze jedna nauka: brońcie się przed szkolną tradycją rodzinną, tłumaczcie starszszkom, że lepiej by młodsze rodzeństwo nie dziedziczyło po Was opinii. Albo trzeba tych młodszych zblatować, ugłaskać, przekupić, bo bracie pętaka ze sobą nie radzę, zawsze się wygada.

Miałem pisać o gimnazjum, a opowiadam o technolgoii wagarowania. Do czego doszło! Jedno pewne, że idąc z dworca do budy marzyłem, że może w nocy w gabinecie fizycznym wybuchnął pożar, może coś się niezwykłego wydarzyło, co przeskodzi w normalnym toku zajęć... Modliłem się, żebym nie został spytany, bo nawet nie zajrzałem do podręczników, nie odrobiłem lekcji. Gnałem, żeby odpisać zadania, trafiały się czasem uczynne koleżanki. Jednak zawsze kierowani nieomylnym instynktem łowców profesorowie mnie wywiekli do tablicy, piętnowali jako lenia i nieuka, a ja życzyłem im, żeby im mieszka-

nie okradli, żeby złamali nogę i leżeli na wyciągu przynajmniej miesiąc. Dwóję uważałem za krzyżącą niesprawiedliwość, za szykanę, za pastwienie się nad niewinnym uczniem i poprzysięgałem zemstę.

Widzicie, taki jest naprawdę stosunek ucznia do wykładowcy, takie jest to przywiązanie do gimnazjum, zwłaszcza wtedy, gdy się do niego co dnia musi iść, przywlec z kulą książek i brulionów w teczce — marsz więźnia bez nadziei na amnestię. Dopiero po maturze robi nam się nagle smutno, lyso — jakbyście dziś powiedzieli. Rozpierzchnie się gromada, a tak byli zżyci, tak się lubili. Jeszcze przysięgają, że się będą spotykać, że dochowają przyjaźni. Jednak życie ich powlecze, rozdzieli. Gdy przypadkiem się zderzą, coraz mniej mają sobie do powiedzenia, chyba, że zaczną wspominać i wtedy buda jawi się jako miejsce najmilszych doświadczeń, czystych uczuć, mocnych przyjaźni. Pięknieje z upływem lat. I może nawet profesorowie stają się kimś bardzo bliskim, bo znali nas młodych, niefrasobliwych, z radością wybiegających majowym porankiem w życie dorosłe?

To wszystko, co w tej księdze zawarte, to prawda wydarzeń, fakty, losy ludzkie, szkice do portretów naszych wychowawców, jednak nie jestem pewny, czy odnajdujemy tu ów niepowtarzalny smak młodych lat, niespokojne bicie serca, pierwsze uczucia, które utrwalić miało serce wyryte na blacie ławki wraz z monogramem ukochanej? Czy nie czujecie lęku przed spotkaniem z kolegami, a tym bardziej z koleżankami, które tak lekko biegały za skaczącą piłką?

Korytarze gimnazjum znów napełniły się młodymi, radosną wrzawą, tupotem nigdy nie zmęczonych nóg. Żywiot. Oni mają swoje zmartwienia, podobne do naszych. Oni na nas patrzą z niedowierzaniem, czyż możliwe, żeby te siwki i staruszki też byli kiedyś uczniami?

Aż zimno mi się robi, kiedy pomyślę, że ktoś może nas — jako, że do czegoś w końcu doszliśmy, czegoś się tam dopracowaliśmy — wspaniałych wałkonii stawiać im za wzór, za przykład.

Przykro mi bardzo, ale nie powinni się toczyć naszą koleiną. Nie można dziedziczyć doświadczeń. Każdą naukę przyjmuje się jak wędzidło, jak dokuczliwą konieczność. Niestety, każde pokolenie musi prawie wszystkiego doświadczyć od nowa, własny paluch wsadzić w ogień, żeby się upewnić, że naprawdę parzy. Może i w tym jest niepokojący urok, przynajmniej dla nas, patrzących w zwierciadło życia jakby już z tamtego brzegu.

Jak to dobrze, że stara buda nadal huczy i przybywa wychowanków, którzy się zwą Zaniakami.

WOJCIECH ŻUKROWSKI